

LEGENDA O LECHU, CZECHU I RUSIE

W czasach, kiedy ludzie nie umieli pisać, kiedy nie liczono lat i nie zapisywano dat, wieści o tym, co się zdarzyło, przekazywano sobie z ust do ust. Najpierw mówili o nich naoczni świadkowie, a potem szły w świat – powtarzane z pokolenia na pokolenie, synom i wnukom przez ojców i dziadów.

Nazywano je „ustnymi podaniami” i niektórzy kronikarze umieszczali je później w swoich kronikach. Tak właśnie było z podaniem o Lechu, Czechu i Rusie. Trafili do kronik z informacją, że od nich zaczęły się przedhistoryczne dzieje naszych przodków – Lechitów i naszych sąsiadów – Czechów i Rusinów.

A potem różni autorzy zaczęli tworzyć o nich legendy. Może i ja spróbuję? Wiadomości w kronikach mało, tylko trzy imiona i jedna linijka tekstu – cienki sznureczek słów, ale postaram się go rozciągnąć, wydłużyć, zwinąć w kłębek opowieści i nie przerywając wątku potoczyć do rąk czytelników.

... Więc było ich trzech. Lech, Czech i Rus. Bracia. Żyli w słowiańskiej osadzie zagubionej w ogromnych lasach. Tam się urodzili. W środku wielkiej kniei. W gęstwinie nieprzebytej puszczy. Nieprzebyte – bo nie było człowieka, który by ją całą przebył, przedarł się przez gąszcz krzewów, chruśniaki i maliniaki, pokonał omszałe pnie zwalonych drzew i zieloną ścianę tych, które koronami sięgały nieba – sosen i świerków, buków, jaworów i dębów.

Dęby były najważniejsze. Najstarszy górował nad osadą. Był wielki i święty. I źródło, które tryskało spod dębu, było święte. I koń, biały koń, który paść się w cieniu dębowych konarów i pił wodę ze źródła, też był święty.

- *Bogu o czterech twarzach poświęcony. Świętowitowi, co w cztery strony świata cztery oblicza obraca* – mówił stary Kapłan, a Lech, Czech i Rus potakiwali.

Wiedzieli, że Świętowit jest największym bogiem spośród wszystkich słowiańskich bóstw, a Kapłan – najmądrzejszym człowiekiem w całej osadzie. Na wszystkim się znał. Na ludziach, zwierzętach, roślinach. Umiał leczyć ciała i dusze, z roślin przyrządzał leki, ze znaków na ziemi i niebie – z gwiazd, z lotu ptaków, z wiatru i dymu – wróżył przyszłość, objaśniał sny. Te, które mieli dorośli, i te, które śniły się chłopakom.

Lechowi i jego braciom od dzieciństwa śniły się konie.

- *Mój był wrony* – zwierzał się staremu Kapłanowi Czech.

- *Mój też wrony* – potwierdzał Rus.

- *A mój gniady, kasztanowy, złoty taki* – uśmiechał się Lech. – *I jechałem na nim, pędziłem, leciałem nad puszcza i goniłem białe obłoki...*

Wyśniły im się te konie. Kapłan powiedział, że się wyśnią i wyśniły się. Kiedy podrośli – każdy dostał od ojca źrebaka. Rus i Czech – czarne, a Lech – gniadego. I każdy sam się o swojego konika musiał troszczyć. Karmić go i poić, czesać i oporządzać, żeby koń miał czysto i sam był czysty.

Pięknie o te swoje koniki dbali. A stary Kapłan tylko się przyglądał i uśmiechał. Aż pewnego dnia powiedział:

- Jest was trzech i macie trzy konie. W trzy strony świata rozjedziecie się na nich. Trzy konie – na trzy strony, a świat ma cztery. Jak Świętowit o czterech obliczach. Żeby do niego dotrzeć – jeszcze jeden koń potrzebny.

I pokazał im źrebaka. Białego jak mleko, jak śnieg i jak obłoki, które w swoich dziecinnych snach gonił Lech.

- To dar dla Świętowita. I sam jest święty. Pilnujcie, żeby nie dotknęła go żadna obca ręka, żeby żaden bezbożnik nie wyrwał ani jednego włosa z jego ogona i grzywy. Kiedy niebo da znak, odprowadzicie go do Północnego Grodu. Do wielkiej świątyni.

- A jaki to będzie znak? – zapytał Lech.

- Świętowit was zawoła. Spójrzy i niebo stanie w płomieniach. Zagrzmi i Biały Koń zrozumie. Na grzmot odpowie rzeniem i ruszy w stronę świątyni. A wy, na koniach, za nim – odpowiedział Kapłan. – Na północ, ciągle na północ.

Przez całą drogę powtarzali sobie potem te słowa. W dzień sprawdzali kierunek jazdy po mchu porastającym pnie drzew od północnej strony, w nocy patrzyli na gwiazdy i cieszyli się, że stary Kapłan tyłu rzeczy ich nauczył, i dziwili, że Biały Koń nigdy nie myli drogi. Może i on nauczył się od Kapłana? A może Świętowit mu podpowiada?

- Słyszysz to, czego ludzie nie słyszą – mówili, patrząc jak Koń strzyże uszami, jak czegoś nasłuchuje, jak na coś, czego oni nie słyszą, odpowiada nagłym rzeniem.

Cały czas ich prowadził. A kiedy szedł – las się przed nim rozstępował, krzewy kłaniały się nisko, a leśne jeziora podsuwały swoje lusterka, żeby mógł się w nich przejrzeć, zobaczyć, jaki jest piękny.

Kapłani w Północnym Grodzie też powiedzieli, że piękny.

- Dar godny Świętowita! – orzekł Najstarszy.

A młodsi, przywiązawszy do ogrodzenia konie Lecha, Czecha i Rusa, pozwolili trzem braciom wejść do wnętrza świątyni. Przed ogromny, sięgający stropu posąg Świętowita. Przed jego wielką postać z głową o czterech obliczach.

Biały Koń już tam był. Prowadzony przez Najstarszego Kapłana okrążał posąg raz, drugi, trzeci. Kapłani szli za nim, modlili się, mruzcili coś niezrozumiale. W jakiejś chwili jeden z nich, mijając trzech braci, zatrzymał się przy nich i szepnął:

- Świętowit przyjmuje dar. Schylcie głowy, prędko się ukłońcie, zaraz przemówi.

I usłyszeli głos. Cała świątynia wypełniła się tym głosem:

- Na Białym Koniu wyruszę w bój
w obronie wiary,
a ci, co Konia przywiedli tu,
niech przyjmą dary.

- Bierzcie – zwrócił się do nich Najstarszy Kapłan, wręczając trzy topory. Ciężkie, żelazne topory o szerokich ostrzach mocno osadzone na drzewkach. I wręczając dar, powiedział: – Teraz ruszycie na wschód. Tam, gdzie budzi się nowy dzień. Gdzie słońce wstaje. Dla was też przyjdą nowe dni. Nie wróćcie do rodzinnej osady. Założycie trzy nowe. Taka jest wola Świętowita. Dlatego dał wam topory. Do walki i do pracy. Do obrony przed wrogiem i budowania nowego życia. A teraz przyjmijcie sakiewki.

Trzej bracia pochylili głowy, trzech kapłanów założyło im na szyje małe, skórzane sakiewki na długich rzemykach.

- *W każdej z nich ukryty jest znak. Tajny znak. Nie wolno go pokazywać nikomu. Będzie go znał tylko ten, kto nosi sakiewkę na sercu.*

Zajrzeli do sakiewek.

W mojej jest pióro... – zdziwił się Lech. W milczeniu, bez słowa, żeby nie zdradzić tajemnicy.

I zaraz rozległ się głos Świętowita:

*- Jak świat ma cztery strony,
a ja – cztery twarze,
jedno miejsce na ziemi
znak każdemu wskaże...*

- *W drogę!* – krzyknęli kapłani. – *Na koń! W imię Świętowita w drogę!*

- *W imię Świętowita!* – odkrzyknęli Lech, Czech i Rus i wskoczywszy na konie, ruszyli przed siebie.

A każdy sprawdzał co chwila, czy nie zgubił sakiewki z tajemnym znakiem i myślał – jakie miejsce przeznaczył mu Świętowit i który z nich pierwszy na swoje miejsce trafi.

I tak się zdarzyło, że pierwszy był Lech. Na leśnej polanie znalazł białe pióro. Takie samo jak to, które miał w sakiewce. Leżało w pobliżu drzewa, grubego, rozłożystego dębu, na dębie było gniazdo, a nad gniazdem krążył biały ptak. Orzeł.

- *To tu!* – zrozumiał Lech i wskazując braciom orła, powiedział: – *Tu jest moje miejsce. Tutaj zostaną pod skrzydłami białego ptaka. Wy pojedziecie dalej, a ja zbuduję tutaj gród. I nadam mu imię – Gniezno. Bo tu, gdzie orzeł ma swoje gniazdo, będzie i moje.*

Nie wiem, czy naprawdę tak powiedział. Ale wiem, że Biały Orzeł jest godłem naszego państwa, a Gniezno było pierwszą stolicą Polski i siedzibą pierwszego polskiego władcy – Mieszka. I że w słowach kryją się tajemnice przeszłości.

O nazwie miasta uczeni mówią różnie. Jedni – że Gniezno wywodzi się od gniazda, inni – że od kniazia. Gniezno – kniežno – gród kniazia...

A może obydwa słowa połączyły się w jedno? Może to i od gniazda, w którym zagnieździł się orzeł, i od kniazia – księcia, który miał na imię Lech? Bo to jest pewne, że tak właśnie miał na imię. Tak zapisane jest w starych kronikach. Nazywał się Lech i miał dwóch braci – Czecha i Rusa.